

Aleksander Sowa



Umrzeć w deszczu

Aleksander Sowa

UMRZEĆ
W DESZCZU

© Copyright by Aleksander Sowa & e-bookowo 2010

© Copyright by Aleksander Sowa, 2006

Projekt okładki: Aleksander Sowa

ISBN 978-83-62480-64-7



Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie II 2010

Historię tę dedykuję wszystkim tym, dla których
miłość stała się przekleństwem i cierpieniem, i tej,
dzięki której kiedyś byłem szczęśliwy.

Marteczce

Amsterdam

Biały proszek niechętnie rozpuszczał się pomiędzy kostkami lodu w polskiej wódce. Artur czuł chłód pustej szklanki w swojej dłoni. W tej jednak chwili nie miało to dla niego najmniejszego znaczenia. Podobnie jak wszystko. Jak cała reszta.

Siedział w obszernym fotelu obitym czarną, lśniącą skórą w swoim mieszkaniu. Był mężczyzną w wieku około lat czterdziestu, z tych, którzy wraz z wiekiem nie tracą na atrakcyjności, ale stają się jeszcze bardziej interesujący. Miał na sobie ciemne ubranie, którego koloru stojąca w drzwiach dziewczyna mogła się w panującym mroku tylko domyślać. Patrząc na niego, pomyślała, że brak krawatu nadaje jego postaci pociągającej swobody. Czula subtelny zapach wody kolońskiej, który przyjemnie łechtał jej nozdrza. Mogłaby pomyśleć: on wygląda jak milion dolarów w gotówce. Do całości sylwetki Artura nie pasowały jednak przydługie włosy, kilkudniowy gęsty zarost, brak butów i skarpetek.

Gdyby w tym pokoju było więcej światła, pewnie dostrzegłaby też na ciemnych włosach pierwsze ślady tego, że jego młodość staje się powoli wspomnieniem. W przydługawych i zaniedbanych kosmykach pojawiały się lśniące świeżą siwizną włosy. Wnętrze mieszkania na poddaszu sześciopiętrowej kamienicy, w którym się znajdowali, pogrążone było w głębokim półmroku i jeszcze głębszym bałaganie. Jego widoczny bezmiar ograniczał chyba jedynie brak światła. Wokół na podłodze leżały puste butelki, ubrania i porzucane zdjęcia, szczególnie tych, których nie widziała. Artur, siedząc w fotelu, wpatrywał się w ścianę mroku i ulewne go deszczu za oknem, które mimo nocy dawało nieco światła z łuny po grążonego we wrześniowej nocy miasta. Deszcz jednostajnie wygrywał swoją nutę kroplami wody rozbijanymi o dachówki.

Amsterdam mimo późnej nocy nadal żył. Odgłosy miasta odbijały się od gęsto padającego deszczu. Wraz z nim w szyby uderzał podmuchami wiatr, wypełniając zawołaniem wnętrza mrocznego poddasza. Jako taką jasność nadawało temu lokum jedynie światło ogromnego akwarium rzucające blask na nieco bardziej pogrążony w ciemności drugi fotel. Dziewczyna po chwili wahania weszła i miękko zamknęła za sobą drzwi. Mężczyzna spojrzał w jej stronę. Jego oczy miały szary, beznamiętny wyraz. Nie płakał, lecz mimo tego jego twarz wyrażała ogromny smutek. Dziewczyna usiadła w drugim fotelu i włączyła dyktafon. Nie zadawała pytań. Nie odzywała się. Czasem tylko przygryzała swoje piękne, pełne usta. Pozwoliła, aby scenariusz toczył się według Artura. Był to przedziwny monolog, którego sens jest w stanie pojąć ten, którego szaleństwo doprowadza do miejsca, kiedy następny krok jest już ostatnim. Mówił cicho, niemal szeptem. Smutny wzrok utkwiał w oknie. Kiedy przerywał, w pokoju słyszano tylko szum wody w akwariu i złowieszczy odgłos przepływającego przez jego gardło płynu. Kiedy odejmował szklankę od ust, jego słowa subtelnie zmieniały intonację. Mówił coraz ciszej i coraz wolniej. Zdania zdawały się przedzierać przez gardło. Wydawało się jej, że za kilka, może kilkanaście minut Artur zamilknie, by pogrążyć poddasze w całkowitej ciszy.

Musiałoby być w jego słowach coś dramatycznego. Dyktafon ustawiony na stoliku dawno skończył nagrywanie, a dziewczyna nadal była wsluchana w przejmującą pieśń, zupełnie tego nie zauważając. Nie zauważyła też ogromnej łzy, która spłynęła po policzku i teraz drżała na jej namiętnych ustach. Mężczyzna mówił bardzo dobrze po angielsku, wręcz doskonale. Jednak dziennikarka wyczuwała dziwny, niepokojąco słowiański akcent. Jakby w każdym wypowiedzianym zdaniu czuła tę chwilę, kiedy kończy się cisza przed wielką ulewą. Czasem wyraźnie słyszała niezrozumiałe, obco brzmiące słowa, które pochodziły zapewne z któregoś słowiańskiego języka. Może z polskiego albo z czeskiego? Nie wiedziała, z jakiego i mogła się tego tylko domyślać. Wypowiadał niezrozumiałe słowa, niekiedy całe zdania w tym szeleszczącym języku. Czasem były to imiona, a czasem... Na razie rozumiała tyle, że patrzy na historię człowieka. Widziała, że jest na krawędzi. I to ona będzie świadkiem jego upadku i śmierci. Słuchała zmęczonego mężczyzny z kilkudniowym zarostem na twarzy i nie potrafiła powstrzymać łez, choć przecież widziała niejedno. Ludzkie tragedie to przecież jej chleb powszedni. Im gorsza wiadomość – tak naprawdę – tym lepsza. Patrzyła jednak spod srebrnych oprawek, młodymi, przepięknie dziewczęcymi oczyma. Oczyma, które nie potrafiły w to wszystko uwierzyć... Słuchała. Elektryzujący szept odkrywał przed nią nowe światy. Myślała. Kiedy do niej dziś zadzwonił, w słuchawce usłyszała głęboki, aksamitny, męski głos:

– Chciałaby pani mieć naprawdę niecodzienny materiał?

Po jej plecach od dołu, wzdłuż kręgosłupa, przebiegł dreszcz, jaki czuła zawsze, kiedy poruszył ją jakiś piękny utwór muzyczny.

– A jakiś szczegół na temat tego, co ma mi pan do powiedzenia? – zapytała odważnie, ale i delikatnie, tak aby go nie spłoszyć.

– Możesz przeprowadzić wywiad... ostatni wywiad. I możesz być ze mną w chwili, kiedy będę umierał.

– Jest pan chory na jakąś nieuleczalną chorobę?

W końcu wielu ludzi codziennie umiera, nie jest to znów jakiś rewelacyjny materiał, pomyślała.

– Nie pytaj teraz, albo chcesz widzieć moje samobójstwo, albo dzwonię do innej siksy, która będzie zadowolona. – W tonie odpowiedzi wyczuła irytację.

– Dobrze, proszę powiedzieć, kiedy i gdzie się spotkamy – szybko się zgodziła.

– Przyjedź sama, do mnie do domu, mieszkam przy Loletzplein 64, na ostatnim piętrze. Nie bój się – nie ciebie chcę zabić... bądź wieczorem.

Jej wesołkowatość w jednej chwili ustąpiła.

– Nazywam się Artur Sadovsky...

Dziennikarka wciąż siedziała przy biurku. Trzymała w ręku słuchawkę, mimo że mężczyzna rozłączył się. Nie ma co, taki telefon nie zdarza się codziennie.

– Simon, jak nazywa się ten fotograf od Jugosławii? – krzyknęła do kolegi po drugiej stronie sali redakcji.

– Jaki fotograf?

– Ten od World Press Photo, ty chyba kiedyś robiłeś z nim wywiad. Chłopak zamyślił się chwilę i odparł z wahaniem:

– Ten Polak, czy tam... Czech?... tak... Sadovsky, Artur Sadowski – po czym wrócił do swojej popołudniowej kawy.

Dziewczyna usiadła na krześle i zrozumiała, że musi tam iść za wszelką cenę. Nie wiedziała wprawdzie, czy nie jest to przypadkiem głupi żart, czy może przypadkiem facet nie ześwirował i czy jeśli tam pójdzie, wróci cała. Ale jeśli wróci, będzie mieć z pewnością materiał, którego nie miała jeszcze nigdy. Wskazówka wielkiego zegara przesunęła się i wskazywała właśnie pierwszą. Czas mijał.

Mo

Urodziłem się w małym miasteczku, które leży w pięknie położonej dolinie, pomiędzy kilkoma niewysokimi górami, w Sudetach – nie musisz znać jego nazwy, do niczego nie jest ci ona potrzebna – Artur mówił, a jego głos wyrażał spokój i niesamowity ładunek smutku. Miasto należy teraz do Republiki Czeskiej. Wtedy jeszcze była to Czechosłowacja. Nie miałem wtedy paszportu, lecz gdybym go miał, miałbym w rubryce narodowość wpisane – czeska. Moja matka była Czeską, mieszkała tam i tam poznała mojego ojca. Ojciec był Polakiem. Dzieliła ich granica, łączyło ich wszystko inne. Łączyła ich miłość. Miasteczka, w których mieszkali, oddalone były od siebie tylko o kilka kilometrów i oczywiście o granicę. Kiedy ojciec miał dziewiętnaście lat, poznał moją matkę. Owocem ich miłości byłem ja. Do piątego roku życia wychowywali mnie rodzice ojca. Matka, razem z ojcem, kończyła studia w Pradze. Potem i ja tam zamieszkałem. Mówiłem po czesku, co zresztą powinnaś słyszeć – ale ojciec zawsze rozmawiał ze mną po polsku. Kiedy skończyłem szkołę podstawową, rodzice zdecydowali, że odtąd będę mieszkać w internacie. Wiele lat dziękowałem im za to. Teraz wiem, że w ten sposób na zawsze zmienili moje życie. Nigdy przedtem i nigdy potem nic nie rzucało takiego cienia na moje losy. Przeklinam dzień, w którym podjęli tę decyzję. Ojciec sprawił – oczywiście dla mnie zupełnie nieświadomie

– że polskim władałem tak samo dobrze jak czeskim, więc wyjechałem do Polski, aby się uczyć. Miałem zostać wielkim lekkoatletą w sportowej szkole we Wrocławiu i przez większość dzieciństwa uprawiałem sport. Niestety nigdy nie zostałem Carlem Lewisem ani Benem Johnsonem, choć długo i ciężko pracowałem. Pewnej nocy, w pociągu do domu z Wrocławia do Pragi, zrozumiałem, że nigdy nie zostanę wybitnym sportowcem. Byłem jeszcze dzieckiem, choć to nie miało trwać długo. Mieszkałem w miejscu, gdzie świat wyglądał wspaniale, miałem kolegów, życie było kolorowe, proste i miało wytyczone cele, jak droga znaki i pasy na jezdni. Tam pierwszy poznałem smak życia, tam zapaliłem papierosa o tym niecodziennym, słodkim zapachu, którego teraz jest u was pełno. Tam wydarzyły się te wszystkie zdarzenia, które zwykliśmy obdarzać określeniem „pierwszy”. Pierwszy raz kochałem właśnie tam...

Chodziliśmy razem do klasy i mieszkaliśmy w jednym internacie, a mimo to przez cztery, a na pewno trzy lata nienawidziłem jej, a ona mnie. Teraz wiem, rozumiem już, że granica to bardzo umowne pojęcie. Czasem zamiast dzielić, może łączyć.

Mo-ni-ka... Trzy krótkie sylaby, a jakże wiele znaczą... Monika... Jak ja nienawidziłem i kochałem to imię... Monika... przy pierwszej sylabie usta układają się na kształt muśnięcia warg – mo... Przy drugiej wysuwają się wraz z językiem do przodu – ni... – by otworzyć się do poca-

łunku, kiedy wypowiadam swój grzech – ...ka. Tylko jeszcze jedno słowo brzmi tak cudownie, słodko, i złowieszczo – kocham.

Wypowiedziałem je i stało się moją klątwą, przekleństwem i zbawieniem. Na całe życie. Jakże wiele dałbym, by móc je ponownie wypowiedzieć i by jej nigdy nie spotkać. Dopiero kiedy uniósł rękę w górę, młoda dziennikarka dostrzegła w ciemnościach, że wciąż trzymał w palcach jakiś przedmiot. Kawałek drutu, który musiał mieć dla niego istotne znaczenie. Była to wsuwka do włosów. Przysunął ją do warg i delikatnie musnął. Zamknął mocno oczy. Wydawało się jej, że zaraz popłyną z nich perliste łzy. Następnie uniósł szklankę, podniósł powieki i lodowatym wzrokiem ocenił jej zawartość. Szklanka była pusta. Wstał więc i chwiejnym krokiem, w milczeniu podszedł do lodówki i nakruszył lodu. Wrócił na fotel. Usiadł ciężko, podniósł butelkę, wyjął wargi i wlał całą zawartość do szklanki. Powoli odłożył pustą już flaszkę. Zachowywał się nadzwyczaj spokojnie. Uniósł z podłogi talerzyk z proszkiem i wsypał zawartość do wódki. Wrzucił do szklanki wsuwkę, zamieszał i odłożył. Zdawał sobie sprawę, że kilka kolejnych łyków go zabije. I ona wiedziała, że wsypał do szklanki więcej niż jedną kreskę. Chciał dokończyć. Chciał dokończyć jej swoją historię. Teraz wiedziała, że nie żartował. Każdy samobójca, który nie chce umierać, chce zostawić list pożegnalny – pomyślała. Ja jestem jego listem. – Nie zostało mi już wiele czasu, ale kiedy skończę – kiedy już będzie po wszystkim – będziesz doskonale wiedziała, co zrobić. I jeśli mogę cię o coś prosić, to proszę tylko o jedno. Obiecay mi, że nigdy nie będziesz mnie oceniać. Tylko tyle. Nic więcej. To chyba niewiele? Prawda? Pytanie zawisło w próżni jak schwymana w pajęczą sieć mucha; skinęła głową, bez pewności, czy w ciemnościach dostrzegł ten gest. Patrzył smutnymi oczami, których koloru nie umiała odgadnąć, w jej kierunku, ale zdawały się być martwe.

– Teraz uspokój się. Włóż kasety i słuchaj – mówił dalej, wskazując jej miniaturowy magnetofon szklanką. Uświadomiła sobie w tej chwili, a raczej on jej to uświadomił, że kaseeta w dyktafonie już się zapełniła. Wyjęła ją więc szybko i drżącymi – nie wiadomo od czego, strachu, przejęcia, emocji – rękoma włożyła następną. Pustą.

– Kiedy miałem siedemnaście lat, po raz pierwszy poznałem smak kobiety. Miała na imię Agnieszka. Była piękną blondynką o wspaniałych oczach. Trochę jak ty. Dziewczyna, zmieszana, uśmiechnęła się nieśmiało do siebie w swoim fotelu w kącie.

– Wiesz, wydarzenia z dzieciństwa zostają w nas na całe życie? To, co spotka dziecko w latach, kiedy nie rozumie jeszcze nic lub rozumie bardzo niewiele, jest jak zwrotnica na torach kolejowych. Wystarczy mały gest, mały ruch, jedno wydarzenie i jedna znajomość, aby całe cholernie dorosłe życie było już zupełnie inne. Pamiętaj o tym – jeśli kiedyś zostaniesz matką. Czytałaś *Lolite* Nabokova?

– Nie... nie czytałam, ale oglądałam film – odparła dziewczyna troszkę zawstydzona, szybko się usprawiedliwiając. Spojrzał na nią. Pod jego świdrującym spojrzeniem poczuła, że wypowiedziała bardzo głupie zdanie.

Utonąć w twoich oczach

Pamiętam jej oczy do dziś, choć wtedy bałem się w nie patrzeć, by nie utonąć w ich błękie. Pojechałem tego lata do dziadków do Polski na wakacje. Mieszkała niedaleko nas. Spotykaliśmy się. Wkrótce zakochałem się w niej młodzieńczą, szaloną, niecierpliwą i bezkompromisową – głupią miłością. A ona we mnie. Pewnej sierpniowej, rozgwieżdżonej nocy kochaliśmy się pod niebem, które było wtedy jedynym świadkiem naszego zespolenia ciał i dusz. Jakież to było nieudolne i dzikie jednocześnie. Wiedziałem, że kiedyś to nastąpi, nie wiedziałem tylko kiedy. Bałem się bardzo i przez cały czas mówiłem. Pragnęliśmy się wzajemnie jak sucha ziemia w lecie pragnie deszczu. Moja pierwsza w życiu kochanka zamknęła mi usta pocałunkiem. Tej nocy powiedziałem jeszcze tylko:

– Kocham cię, by za moment później usłyszeć to samo z ust, które jeszcze przed chwilą mnie namiętnie całowały.

Do końca sierpnia uciekaliśmy w to cudowne miejsce wielokrotnie. Uciekaliśmy, by ogniem naszych ciał rozpalać żar naszych serc. Kiedy umarł mój dziadek, po pogrzebie chciałem pójść w to miejsce, by ukoić ból po stracie jakże mi bliskiej osoby. Wyszedłem na polną drogę, którą wielokrotnie przemierzałem z moją Agnieszką, trzymając ją za rękę. Zobaczyłem autostradę i pędzące samochody. Nie było już naszej krainy rozkoszy, gdzie w miłosnym uścisku splataliśmy ciała. Nie było starego dębu, który stawał się co noc, wraz z gwiazdami, niemym świadkiem młodzieńczych uniesień. Nie było już mojej kochanki z drżącymi ustami jak krople rosy na pączuszkach róż, które tak bardzo lubiła, a ja co wieczór zrywałem je dla niej, kalecząc dłonie na różanych kolcach, w ogrodzie starej sąsiadki. Nie było wszystkiego od dawna. Wkrótce po naszych cudownych wakacjach zapadła na z pozoru niegroźną gripę, która przerodziła się w ciężkie zapalenie płuc. W ciągu kilkudziesięciu godzin moja mała kobieta przegrała samotną batalię z gorączką. Ja przegrałem – jakże boleśnie – wraz z nią. Przegrałem po raz pierwszy. Tego dnia, gdy zimny wicher osuszał moje łzy, a ja klęczałem samotnie na jej grobie, przeklinając cały świat, skończyło się moje dzieciństwo. Tego okrutnego listopadowego dnia, wznosząc zimne dłonie ku niebu, przekląłem Boga. A wraz z nim cały świat. Miałem siedemnaście lat. Przekląłem Boga, bo nigdy by na to nie pozwolił. Wszystkie te brednie czarnych o tym, że Bóg nas doświadcza, o tym, że trzeba z pokorą znosić przeciwności losu, obrzydzą mnie do dziś. Kimże jest Bóg, który pozwala odejść komuś takiemu, kim? Dlaczego nie zabierze ze świata tych, którzy świat czynią okrutnym, podłym i złym, a zabiera anioły? I wiesz, skąd wiem, że nie ma Boga? Bo anioły nie umierają, a skoro nie umierają, to ich nie ma – Agnieszka była aniołem i odeszła. Nie zabrał jej Bóg – nie zabrał jej diabeł. Odeszła po prostu. Odtąd wiem, że religia jest bzdurą i najlepszym interesem mafii w sutannach, jaki można by wymyślić. Nigdy nie uwierzyłem w tłumaczenia bożego postępowania. Uwierzyłem wreszcie, że nigdy nie istniał. Kiedy ojciec zabrał mnie, obejmując ra-

mionami, do domu moich dziadków, zrozumiałem, jak bardzo go kocham. Nigdy po tym nie nazwałem go nawet w myślach „starym”. To jest charakterystyczne dla was, karmionych sieczką dla małych w telewizji, prasie i Internecie. Odtąd na zawsze już był moim ojcem. Był po prostu tatą. Od tego czasu zawsze mówiłem do niego: tato. Do końca. Wiele razy budził mnie sen, w którym znów byłem na tym cmentarzu. Sen, który wiele razy stawał się rzeczywistością. Życie dlatego jest okrutne, a jednocześnie wspaniałe, że współistnieje z pojęciem czasu nierozdzielnie. A on spokojnie zaciera nasze rany, nasze wspomnienia. Moje rany i moje wspomnienia były ciągle świeże i ciągle bolały, jak drzazga w palcu, z każdym ruchem mocniej i intensywniej. Wiedziałem już, że nie zostanę wielką gwiazdą lekkiej atletyki. Nie chciałem nią zostać i nie zależało mi na tym. Na niczym mi nie zależało! Poszedłem do swojego trenera, by powiedzieć, że widzimy się po raz ostatni. Wiedział o wszystkim i proponował mi dłuższą przerwę. Nie chciałem mu robić przykrości, zgodziłem się, choć doskonale wiedziałem, że nigdy nie wrócę na bieżnię. Że nigdy już jego dobrze zapowiadający się płotkarz nie przebiegnie ani metra. Nie chciałem już więcej przegrywać. Za bardzo bolało. Wycofałem się. Uciekłem. Uciekłem gdzie indziej. Miało to też swoje dobre strony. Mogłem już jeść, co chciałem, mogłem spróbować alkoholu. Miałem też więcej czasu. Moi koledzy, widząc mnie smutnego, zabierali mnie niemal siłą na różne imprezy, spotkania. Po raz pierwszy poznałem papierosa, gorzki smak piwa i palące uczucie, gdy piłem wódkę. Spodobało mi się takie towarzystwo, ci ludzie i ten klimat. Pozwoliło mi to zapomnieć na chwilę o przykrych chwilach. W szkole i w internacie oprócz nauki czasem bardzo dobrze się bawiłem. Zdarzało się, że budziłem się i nie byłem sam. Czasem niektóre z koleżanek w moim łóżku pojawiały się częściej, inne rzadziej. Czasem systematycznie, Ania, Kasia, Jolka czy Asia. Nawet Agnieszka. Potem znów Ania, znów, i jeszcze raz. Potem w Pradze Ina i Hanička. Jednak żadna nie była Agnieszką. W oczach żadnej z nich nie można było utonąć.

Ty jeden wiedziałeś

Ciągle byłem uczniem. Nadchodziły ostatnie wakacje szkoły średniej. Po wszystkim tym, co mnie spotkało, nie wiedziałem, co chcę robić w życiu. Znowu nadszedł czerwiec, potem lipiec. Wakacje. Znowu pojechałem do dziadków do Polski. Do tego miejsca, gdzie kiedyś była ona. Czasem było mi bardzo źle. Przychodziłem pod ogromną, starą brzozę. Pamiętam jej gałęzie z drobnymi listkami, szeleszczącymi na wietrze jak ogromne warkocze, zwisające z rozłożystych gałęzi.

– Nie wiesz, co to brzoza, prawda? Skąd możesz wiedzieć – Artur nagle, niespodziewanie dla dziewczyny, zaczął mówić po polsku. Zupełnie nic nie rozumiała i czuła się nieswojo, tym bardziej, że patrzył teraz na nią i mówił wprost do niej.

– Betula! – wypowiedział nazwę łacińską. I znowu patrząc w okno, szybko wypowiadał inne słowa.

– Można było się chwycić takiego warkocza i huśtać do woli, albo z jednego brzegu rzeki na drugi przelatywać, wisząc jak Tarzan na lianie. Zrozumiała ostatnie słowo. Znowu spojrzał na dziewczynę i odparł na jej pytający wzrok.

– Yes, like Tarzan! – Po czym kontynuował:

– Siadałem na drewnianej ławce, którą dziadek chyba przed dwudziestoma laty zbił z desek i tam postawił. Pod brzozą. Tam, w ogrodzie, pod tym starym drzewem, rozmyślałem, wpatrując się w zapadające za góry słońce. Tam słońce zachodzi najpiękniej na świecie. W dupie mam zachody słońca na Majorce, Costa Brava i na Hawajach – tam, w kraju moich lat dziecińczych, słońce zawsze zachodzi najpiękniej. Tak bardzo chciałbym raz jeszcze zobaczyć to miejsce i przeżyć taki lipcowy wieczór – mężczyzna patrzył na fotografię, którą trzymał w dłoni. Po chwili milczenia wyrzucił ją na podłogę, wychylił spory łyk ze szklanki z rżniętego szkła i mówił dalej:

– Słońce zapadało wieczorami, by pogrążyć mnie w półmroku, który zacierał kolory i kształty. By ofiarowywać mi co noc nowe tajemnice. By błysnąć miliardami gwiazd i tysiącami odgłosów nocy. Wychodziłem na wzgórze za domem, by wpatrywać się w zamierające światła Javornika, by posłuchać ciszy, przesypując piasek między palcami. Ciszy, którą śmiały naruszyć jedynie beczelnie cykające swój szaleńczy koncert świerszcze. Siedziałem tam zwykle, dopóki chłodne tchnienie nocy nie pozwalało mi nadal poić sobą moich zmysłów. Głosów, zapachów i kształtów ciszy.

Wracałem pod moją okrytą mrokiem brzozę. Siadałem i myślałem o Agnieszce i o tym, co będzie z moim życiem. Co dalej i co mam robić. Za rok miałem już zdawać egzaminy końco-

we. Wybrać szkołę i dalej żyć, a raczej rozpocząć nowe życie. Dorosłe. Tego wieczoru, po chwili, kiedy robiło się zimno, stare ręce mojego dziadka okryły mnie kocem. Nigdy sam nie odzywał się pierwszy. Lecz kiedy mówiłem, słuchał, czasem kiwał głową i milczał. Nie pytał o nic. Kiedy kończyłem, wydłubywał zawartość fajki, wyjmował z kieszeni spodni tytoń, który kupowałem mu w Czechach, nabijał ponownie i zapalał. Następnie zaciągał się głęboko dymem i po chwili mówił. Opowiadał mi o swojej młodości, o wojnie, o świecie sprzed kilkunastu lat. Czasem o jakichś wydarzeniach i ludziach, w denerwujący, starczy sposób, którego moja młodość nie rozumiała. O ich historiach. Nigdy nie dawał mi rad i wskazówek, choć dokładnie wiedział, co zrobić. Znał mnie o wiele lepiej niż ktokolwiek inny. Nawet niż ja sam. Pewnej nocy, tak podobnej do innych, a mimo to wyjątkowej, kiedy wróciłem ze wzgórza ze źdźbłem suchej trawy w ustach, nie przyszedł. Usiadłem na ławce i słuchałem odgłosów z domu. Wiedziałem, że on gdzieś tam jest. Słyszałem go. Był na strychu, robił coś. Słyszałem wyraźnie, jak przestawia jakieś sprzęty i otwiera szafy i kufry. Po pewnym czasie dźwięki ustały i zamilkł cały dom. Pewnie spijał wiśniowe wino z gąsiora – pomyślałem wtedy o nim z uśmiechem. Zobaczyłem go po chwili. Szedł powoli, w ciemnościach, by usiąść obok. Kiedy wreszcie to zrobił, powiedział cicho:

– To jest dla ciebie. Nie daję ci go, lecz tylko pożyczam. Kiedy przyniesiesz mi pierwsze dobre zdjęcie i ja uznam, że jest wystarczająco dobre – będzie należał do ciebie. Ale jeśli nie, jeśli nie będzie wystarczająco dobre, oddasz go mi w nienaruszonym stanie. I nigdy nie weźmiesz do rąk. I uśmiechając się, dał mi stary skórzany futerał. Był w nim rosyjski, czy też bardziej precyzyjnie – radziecki – aparat fotograficzny Zenith. Dziadek patrzył na mnie. Gdybym potrafił widzieć w ciemnościach, zobaczyłbym przepełniony miłością i pełen troski wzrok starego człowieka. Spojrzenie z pytaniem w oczach.

– Dobrze – odpowiedziałem, zgadzając się. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy z tego, co może to dla mnie oznaczać.

– Więc jutro nauczę cię posługiwać się tym. A to, wbrew pozorom, nie takie proste.

– Oj, chyba nie takie znów trudne!

– Zobaczysz. Sam się przekonasz i mi powiesz. Potem uprzątniemy stryszek i coś tam wykombinujemy! Myślę, że możesz się tym zainteresować. Zaciągnął się dymem. Pyknął fajkę trzy razy.

– Nie siedź za długo. Robi się zimno.

Nie wiedziałem, o czym mówił wcześniej. I kiedy go zapytałem, cicho odpowiedział tylko:

– Wszystko w swoim czasie, synku. Jutro pójdziesz do sklepu i kupisz to, co ci powiem. A teraz chodź spać i nie myśl już o tym! Poszedłem spać, jak kazał, lecz nadal nie mogłem zrozumieć, o czym mówił. Zasnąłem i kiedy się obudziłem, nie rozumiałem nadal. Budziłem się jeszcze wiele razy i wciąż nie rozumiałem. Musiałem jeszcze wiele razy wstawać z łóżka, zanim pojąłem. Setki razy, lecz wreszcie pojąłem, o czym mi tamtej nocy powiedział. Był bardzo mądrym człowiekiem i to, co zrobił, zapewne dobrze przemyślał. Nie była to mądrość

okupiona doktoratem. Nie była to mądrość potwierdzona dyplomami, ale była to mądrość, której często brakuje tym, co kupują dyplomy i dostają doktoraty. Dla mnie nieświadomie nadał sens mojemu życiu na bardzo długi czas. Na całe życie. Zawszę będę mu za to wdzięczny! Szkoda, że teraz nie mogę wyjść z domu pod brzozę z nim po prostu porozmawiać! Jestem pewien, że tamtego wieczoru i tak ukradkiem spuszczał wino z gąsiora. Nie wiem tylko, czy po tym, jak dał mi aparat, czy wcześniej. Następnego ranka poszedłem do miasteczka, tam, gdzie powiedział. Kupiłem to, co napisał niezdarnie starymi rękoma na małej kartce. Błona 135, 36 klatek 24 ASA czarno-białe. Zupełnie nie wiedziałem, o co chodzi w tych wszystkich oznaczeniach, lecz w ciągu najbliższych kilkunastu dni poznałem je i wiele innych dziadkowych zaklęć. Dowiedziałem się, co to jest przysłona i jaki ma związek z migawką. Wiedziałem już, jak się ustawia ostrość i zwalnia samowyzwalacz. Patrzyłem na światłomierz i robiłem zdjęcia. Było to zupełnie inne, dla mnie nowe doświadczenie. Robiłem już wcześniej zdjęcia. Jak każdy. Lecz polegało to na przyłożeniu do oka aparatu i naciśnięciu guzika. Teraz było zupełnie inaczej. O wiele trudniej, przez to sprawiało mi to ogromną przyjemność. W ciągu kilku dni dziadek nauczył mnie wielu fotograficznych tajemnic. Nauczył mnie malowania światłem. Jakiś czas po tym, kiedy wiedziałem już, dlaczego robię niewyraźne albo czarne zdjęcia, uprzątnęliśmy z dziadkiem starą łazienkę na strychu. Nie wiedziałem, po co to robimy, ale w trakcie pracy powoli wszystko mi wyjaśnił. Zabrał mnie na strych. Było to właściwie całe piętro. Dla dziadka i babci wystarczył dół i parter domu, zatem nieczęsto tu zaglądali. Weszliśmy do łazienki, w której stało kilka starych pojemników, nazywanych przez dziadka kuwetami. Wstawiony był tutaj stary kredens, który pamiętałem jeszcze z czasów, kiedy stał na dole w kuchni, a babcia, dużo młodsza i sprawniejsza, krzątała się wokół, w swoim królestwie.

– Kiedyś to były meble – odrzekł dziadek z sentymentem, otwierając szafkę po naczyniach. Stały tam, spowite jedwabnymi nićmi pajęczyn przeróżne pojemniki i butelki o rozmaitych kształtach i wielkościach. Wszędzie były wielkie jak trzmiele pająki.

– Musimy tu chyba posprzątać?

– Masz rację – dziadek kiwnął głową, zgadzając się ze mną.

Wzięliśmy się więc do pracy. I wkrótce było po wszystkim. Odpoczywaliśmy, a on mówił:

– To jest powiększalnik – wskazał dziwne urządzenie na stole, które przypominało wiertarkę zamontowaną na stałe, by wierciła w dół.

– Kolorowe pojemniki to kuwety – ciągnął dalej. – To właśnie w nich zobaczysz cud. Cud narodzin czegoś, co właśnie ty stworzyłeś!

Polecił mi wkręcić czerwoną żarówkę, zamknąć drzwi na klucz i zasłonić malutkie okno.

– Teraz nalej wody do kolejnych pojemników i patrz!

Wsadził termometr do wody i polecił mi odczytać wskazanie.

– Dwadzieścia dwa – odczytałem.

- Dużo – odparł z widocznym niezadowoleniem – ma być osiemnaście, poczekamy.
- Teraz jest dwadzieścia – powiedziałem, kiedy słupek obniżył się o dwie kreski.
- Teraz mieszaj.

Widziałem, jak uśmiechał się do mnie w czerwonej poświacie i wyglądał jak indiański szaman albo czarownik z amerykańskich, durnowatych filmów dla półgłówków. W łazience, która teraz stała się ciemnią, panował mrok, rozświetlany jedynie tą małą czerwoną żarówką. Jakiś czas po tym, po szeregu niezrozumiałych czynności, których zawitości na bieżąco mi objaśniał, włożył kartkę papieru do roztworu, który nosił nic mi wtedy niemówiące miano wywoływacza. Na moich oczach powoli zaczął się rodzić obraz. Obraz, który dzięki dziadkowej alchemii powołałem do życia. Po raz pierwszy w życiu namalowałem obraz światłem. Do końca wakacji chodziłem po okolicy i fotografowałem, co tylko się dało. Było to ogromnie spontaniczne, fascynujące! Kiedy wracałem, dziadek się tylko lekko uśmiechał, siedząc na ławce i paląc tę swoją nieodłączną fajkę. Co jakiś czas pokazywał mi nowe możliwości sprzętu, choć prawdę mówiąc, nie były zbyt imponujące. Wiedziałem już jednak, jak zrobić kilka zdjęć na jednej klatce i do czego służy statyw. Eksperymentowałem. Zużyłem dziesiątki rolek filmu, a dziadek wciąż tylko leciutko się uśmiechał. Zepsułem setki wspaniałych ujęć i doskonałych tematów. Wielokrotnie zrobiłem trzydzieści osiem lub czterdzieści zdjęć na jednej klatce, bo źle włożyłem film. O, ileż zmarnowałem klatek przez naświetlenie, prześwietlenie i niedoświetlenie. Te kadry, uśmiechy, zachody słońca, grzyby, drzewa, łyzy i kocie sprawy, które bezpowrotnie straciłem. Widzę je teraz oczami wyobraźni jako najpiękniejsze, fascynujące i tak bardzo tęsknię, że je utraciłem na zawsze. Ale i one były potrzebne. Tak jak potrzebny jest płacz, poobijane łokcie i kolana, zanim się dziecko nauczy sztuki jazdy na rowerze. Myślę, że dziadek był zadowolony. Najbardziej z tego, że zapomniałem o swoich troskach. Ciekawe, bo może uśmiechał się, wiedząc, że wszczepił mi wirus. Wirus, który dał mi szczęście. Czasem wychodziłem do lasu lub nad rozlewiska Kamiennej, aby się wykąpać. Przychodził do mnie kolega, rówieśnik, Marcin. Znałem się z nim jeszcze z czasów, kiedy przyjeżdżałem tam jako zupełny dzieciak. Zresztą jego siostra też miała na imię Agnieszka. Tak jak moja Agnieszka, o mlecznych, perłowych włosach. Gdybym nosił w sobie takie uczucia jak Kain, Marcin zginąłby z moich rąk. Marcin był brunetem, a ja, niestety, nigdy się tak ciemnych włosów nie doczekałem. Kiedy mieliśmy po piętnaście lat, on miał 176 centymetrów wzrostu, a ja ledwie przekraczałem 160. Marcin był szybszy, silniejszy, sprawniejszy, lepiej grał w piłkę, celniej strzelał z wiatrówki. Nigdy nie śmiał się z moich kawałów. Ale mimo to opowiadałem mu je, aby mieć satysfakcję z tego, jak powstrzymywał śmiech, by okazać mi, jak bardzo mizernym żartem go właśnie zanudza. Kiedy gdzieś wychodziłem, aparat brałem zawsze ze sobą, więc i tym razem też tak było. Wracaliśmy już do domów po udanej kąpieli, w powietrzu unosił się sierpniowy zapach zbliżającego się powoli wieczoru, słychać było w oddali kombajny w tym niezwykłym ferworze żniw. Rozmawialiśmy jak zwykle na jakiś frapujący nas temat. Nie pamiętam już. Samochody, motocykle? Dwóch jeszcze nie-studentów, idących zwykłą polną, szutrową drogą z lasu. Z daleka dolatywał cichy szum pociągu do Javornika, z kominów domów wolno unosił się dym.

– Słyszałeś? – nagle Marcin zapytał mnie i zatrzymał się, nasłuchując bardzo intensywnie czegoś, co prawdopodobnie usłyszał przed chwilą.

– Nie... a co miałem słyszeć?

– Cicho! – Marcin uciszył mnie stanowczo. I w tym momencie obaj już usłyszeliśmy leciutki, ledwo słyszalny... pisk? Skomlenie? Nie wiedząc, co słyszemy, zbliżaliśmy się do miejsca, skąd dochodził ten dźwięk. Tak, to było skomlenie. Po chwili obaj już wiedząc, że dźwięk dobiega z przydrożnego rowu, zastanawialiśmy, co może go wydawać? Kilka sekund po tym cała zawartość mojego żołądka gwałtownie i wbrew mojej woli uniosła się do góry. Aż do gardła. Wywaliłem cały obiad do biosfery. W rowie leżał pies. Kudłaty, nierasowy, mały pies. Widziałem, jak szczerzy do nas białe kły, ale tylko tyle mógł zrobić; nieomal połowę jego tułowia pokrywały białe, tłuste robaki, które bezustannie się ruszały. Patrzył na nas wielkimi z cierpienia i bólu oczami. – Widzisz?... – zapytał cicho Marcin.

– Uhm... – odparłem, wycierając usta z wymiocin.

Pod rozerwanym brzuchem suki leżały martwe, jeszcze nie narodzone szczenięta. Na wpół zjedzone przez białe, wstrętne robaki!

– Musimy go zabić.

– Ja tego nie zrobię – odpowiedziałem. Popatrzył na mnie.

– Więc ja to muszę zrobić? Chryste, zaraz puszczę pawia jak ty.

– Ja tego nie zrobię – powtórzyłem z naciskiem.

Patrzyłem, jak spokojnie szukał odpowiednio dużego kamienia i nie mógł znaleźć, a mnie przyszło to z niebywałą łatwością. Kiedy znalazłem i podałem mu kamień do ręki, czułem się jak Ewa podająca rajski owoc Adamowi na chwilę przed spełnieniem się największej bajki świata. Szybko wyjąłem z plecaka mojego zenitha, naciągnąłem film, spojrzałem na światłomierz z prawej strony lustra i wycelowałem w psie oczy, nastawiwszy ostrość drżącymi dłońmi. Po chwili kamień upadł na to biedne zwierzę, które pamiętam do dziś.

– Pewnie potrąciło go auto.

– Tak, to jedyna możliwość. Ciekawe, ile tak leżał?

– Kilka dni, może dwa albo pięć... – odpowiedział Marcin po chwili namysłu.

– Męczyłby się tylko – odparłem.

– Uhm...

Do samego domu nie odezwaliliśmy się do siebie ani słowem. Każdy z nas o czymś myślał. Po tym wydarzeniu długo zastanawiałem się, aż wreszcie powiedziałem o tym psie dziadkowi. Czy jest to szukanie dobrego ujęcia kosztem cierpienia tego zwierzęcia, tej istoty? Czułem się dziwnie. Nie wiedziałem, dlaczego zrobiłem tę fotografię, i nie umiałem odpowiedzieć na Marcina pytanie.

– Po co marnujesz kliszę na takie głupie zdjęcia?

Opowiedziałem o tym dziadkowi dokładnie. Wystęchał mnie spokojnie, po czym zapytał:

– A co zrobiłbyś teraz?

Pomyślałem, by po chwili uśmiechnąć się do dziadka i swoich myśli. Przecież nic innego nie pozostało. Każda chwila dla tego psa była bezsensowną męczarnią. Nie można było pomóc inaczej, jak tylko przerywając jego cierpienie.

– Takie jest życie, synu. Więc kiedy wchodzimy do ciemni?

Siedziałem prawie w całkowitych ciemnościach, rozświetlonych jedynie mdłym światłem czerwonej żarówki. Przed moimi oczami z wolna ukazywały się rajobrazy, twarze bliskich i zupełnie nieznanymi mi osób, wydarzenia i sytuacje. Była to przepiękna chwila. Tylko ja i moje czary. Miało to coś z mistycyzmu. Czułem się jak czarownik w swojej pracowni na wieży kamiennego zamku. Wreszcie do wywoływacza włożyłem papier, na którym miało powstać to zdjęcie. Moim oczom powoli ukazywał się niewyraźny kształt. Szczegóły poczęły wydobywać się z niebytu. Widziałem już oczy. Miały w sobie przeogromny ładunek cierpienia, żalu za odchodzącym życiem, strachu przed śmiercią i wdzięczność. Wdzięczność za zatrzymanie bólu. I jeszcze coś. Ogromną chęć do życia. Nawet na sekundę przed śmiercią. Następnego tygodnia moje wakacje u dziadków dobiegły końca. Kiedy ojciec przestał już się dziwić mojej zmianie, mogłem spokojnie porozmawiać z dziadkiem. Usiadłem pod brzozą obok niego i zaczęliśmy z sobą rozmawiać. Dziadek zapytał mnie o najlepszą fotografię.

– Wiesz już, które?

– Nie, jeszcze się waham. Mam tu kilka. Wszystkie są dobre – nie wiem – może to z Marcinem?

– Wybrałbyś je jako najlepsze?

– Nie, chyba nie – odparłem.

– Więc możesz je odłożyć. Chociaż czekaj, jest dobre, podoba mi się – i wziął fotografię do ręki, by przyrzeć się jej bliżej.

– To, uważam, że jest udane – i podałem mu nastrojowy obraz unoszących się nad taflą jeziora porannych mgieł o piątej nad ranem.

– No, możesz być z siebie dumny. Nauka nie poszła w las! – odrzekł, poprawiając okulary.

– Ale zaczekaj – zawahałem się. – Prawdę mówiąc, wybrałem już chyba zdjęcie. Podałem mu wizerunek umierającego psa. Tego psa. Z wielkimi, przerażonymi oczyma, wpatrującymi się w straszną przyszłość.

– Jestem pewien. To na pewno to zdjęcie.

Patrzył dłuższą chwilę. Potem zapytał innym głosem, poważnym, bez cienia żartu:

– Dlaczego właśnie to?

– Nie wiem do końca. Chyba dlatego, że ono oddaje dokładnie to, co czułem ja i co czuło to zwierzę, ta istota. Ono nie potrzebuje opisu, tytułu. Ono mówi, przemawia do mnie i do tych, którzy je oglądają. To zdjęcie jest chwilą, jest historią... Ono nie jest z tych, które nie znaczy nic jak jakaś pocztówka z fontanną Trytona. To zdjęcie jest wyjątkowe. Budzi we mnie największe emocje.

– Aparat jest twój!

Do wydania drugiego

31 maja 2006 roku zakończyłem snuć tę historię. We wrześniu tego samego roku pojawiło się pierwsze wydanie tej książki. Rodziła się przez ponad cztery lata, będąc tysiące razy edytowanym plikiem. Od chwili, kiedy po raz pierwszy zakończyłem ją pisać, zmieniło się wszystko. Ostatnią zmianą był tytuł.

Dziś, oddaję w Twoje ręce wydanie drugie. Jest zmienione, biografia Artura pozostała jednak taka sama. Odkąd ją spisałem, ci, którzy poznali ją jeszcze przed dzisiejszym dniem – zawsze pytali. Los głównego bohatera starali się przenosić na moje życie i szukać bohaterów książki wśród moich przyjaciół. Winny jest zapewne pierwszoosobowy narrator. Chcę jednak podkreślić, że bohaterowie z książki nie powinni być utożsamiani z moimi bliskimi.

Oczywiście nie będę uciekał od zarzutów o wątki biograficzne. To prawda, historia Artura jest oparta w pewnym stopniu na moich przeżyciach.

Jestem jednak przekonany, że tak właśnie być musi. To jest bowiem istota tworzenia. Tak jak malarz maluje to, co widział w naturze lub zobaczył w swojej wyobraźni, tak samo pisarz – pisze to, co widział, widzi, czy wyobraża sobie, mieszając fikcję z rzeczywistością. Niekiedy zatem opisane sytuacje wydarzyły się naprawdę. Niektórzy bohaterowie żyli lub żyją nadal. Nie odpowiem, kto, które... i gdzie kończy się fakt, a zaczyna fikcja. Po co? Nie uważam tego za słuszne.

Pewne sytuacje opierają się na tle historycznym, które starałem się odwzorować możliwie najwierniej i wiem, że mi się to nie udało. Nie w tym rzecz – nie to było moim celem. Moim celem było zupełnie co innego.

Chciałem Ci opowiedzieć historię życia Artura.

7 maja 2009

aleksander_sowa@tlen.pl

www.wydawca.net

PS. Dziękuję Słyszowi – on wie za co.

Spis treści

AMSTERDAM	5
MO	8
UTONAĆ W TWOICH OCZACH	10
TY JEDEN WIEDZIAŁEŚ	12
INTERNAT	19
ZIMOWE NIEBO	33
PO PROSTU JESTEM	42
FOREVER	45
DZIŚ NIEBO PŁACZE	50
TAM, WSZYSTKO JEST INNE	52
JAK IKAR	56
MIASTO OBLĘŻONE	62
BAŁKAŃSKI CIEPŁY WIATR	71
СРЕБРЕНИЦА	81
SŁOŃCE ZACHODZI W ADRIATYKU	89
MÓJ DOM DALEKO	95
SPÓŹNIENI KOCHANKOWIE	97
RYSA NA SZKLE	106
UMRZEĆ W DESZCZU	109
POSTSCRIPTUM	111
DO WYDANIA DRUGIEGO	113

Inne powieści tego autora wydane przez nasze wydawnictwo:



Czwórka zwykłych ludzi. Trzy kłamstwa. Dwie ofiary. Jedna hipnotyczna opowieść o toksycznej miłości, namiętności i żądzy. Kobieta i mężczyzna. Płomienny romans. Gorące pożądanie i niszcząca wszystko zazdrość...

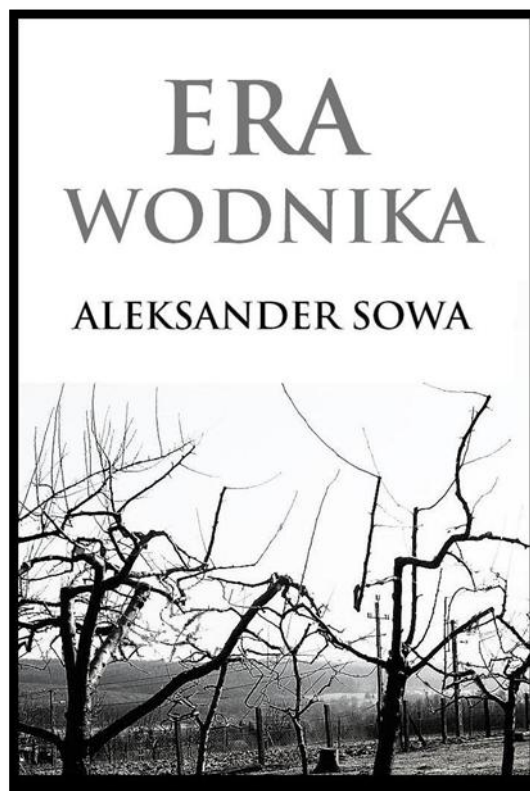
Nie czytaj tej książki, jeśli nie chcesz, aby Twoja ulubiona czerwona sukienka była jeszcze czerwiejsza, nie czytaj jej też, jeśli na zawsze nie chcesz mnie znienawidzić...

[Zobacz >>>](#)

Doświadczony policjant odnajduje w starym schronie martwych bezdomnych. Okazuje się, że to przypadek wyrafinowanego zabójstwa. Morderca przesyła Policji i mediom nagranie swojego głosu.

Wydawałoby się, że to dramat kryminalny. Niespodziewanie jednak intelektualna rozgrywka mordercy z głównym bohaterem przeradza się w trzymający w napięciu thriller psychologiczny.

[Zobacz >>>](#)





Aleksander Sowa

Pisarz, autor powieści, poradników, wierszy i książek technicznych. Zadebiutował w roku 2006 powieścią pt. „**Umrzeć w deszczu**”. W roku 2007 ukazała się druga powieść tego autora pt. „**Jeszcze jeden dzień w raju**”, nagrodzona tytułem „Najlepszej książki na lato 2010 portalu Granice.pl” w głosowaniu internautów i jury. W 2010 roku ukazała się „**Era Wodnika**”, będąca trzecią powieścią tego autora.

Aleksander Sowa prowadzi Literacką Stronę Autorską (www.wydawca.net) oraz Literacki Blog Autorski (<http://wydawca.blogspot.com>).